

Poeta i skowronek.

Gdy na górach dzień już świeci
A w dolinach jeszcze ciemno,
Skowroneczek w górę leci
I woła mię, o pójdź ze mną.
    Leć poety duszo młoda
    W toń błękitów w srebrne chmury,
    Tu pogoda, tu swoboda
    W górze słońce, w dole góry!
Szumią świerki na wyżynach
Wśród nich brzęczą trzody dzwonki,
Grzmią potoki po dolinach
Pieją ranny hymn skowronki.
    A my pieśnią połączeni
    W tych lubujem się widokach,
    W falach światła uniesieni
    Płyniem razem na obłokach.
Coraz jaśniéj płonie dzionek
Góry piękném promienieją,
A poeta i skowronek
Razem hymn do Boga pieją.
    I dziękują za stworzenie
    I za pieśni błyskawice,
    I za radość i cierpienie,
    I za piękną tę ziemicę.

W. z Kleczkowskich, Nerlich.

r. 1866 w Karpatach nad Popradem.

SPRAWOZDANIE

z audiencji udzielanych szambelanowi Łojko, posłowi nadzwyczajnemu króla i Rzeczypospolitéj polskiéj, w Wersalu 1766 r.

(Dokończenie).

Jeśli poseł ma sekretarza legacji, który postępuje za nim, odbiera z rąk jego pismo wierzytelne, dla oddania go królowi, a gdy je król już odebrał, przedstawia mu sekretarza. Toż samo ma miejsce u królowej, do której wszyscy tego rodzaju ministrowie mają listy. Pani téj wówczas choréj nie mogliśmy widzieć, również jak i księżny delfinowej, która po śmierci delfina nieprzyjmowała jeszcze żadnych wizyt.

Po wyjściu od króla zaprowadzony zostałem do delfina, u którego posłuchanie odbyło się w tym samym porządku co i u króla. Delfin przyjął mię również z głową nakrytą. Gdy się do niego mówi, używa się wyrazu: *Monseigneur.*

Od delfina zostałem zaprowadzony do hr. Prowancji, a od niego do hr. d'Artois. Te posłuchania odbyły się również w podobny sposób, jak u delfina i króla. Obudwu tytułowało się w czasie mowy *Monseigneur.*

Ztamtąd udałem się do dwóch wnuczek króla, a córek zmarłego delfina, które zastałem razem. Przyjęły mię siedząc i na każdy z trzech moich pokłonów odpowiadały skinieniem głowy.

Od księżniczek zaprowadzono mię do księżnéj Adelaidy [1]), która przyjęła mię również siedząc, otoczona stojącemi damami, potém

[1]) Madame Adélaïde (córka królewska) również jak i ks. Wiktorja, Zofja, Ludwika.

razem do księżniczek Wiktorji, Zofji i Ludwiki, które mię przyjęły podobnież jak poprzedzające. Dawniej było w zwyczaju, że po każdéj z powyższych audjencji odprowadzano posła lub ambassadora, dla poprowadzenia go ztamtąd do następnych posłuchań, lecz zaniechano utrudzającego tego zwyczaju.

Po wszystkich tych audjencjach sekretarz przyboczny poprowadził mię dla oddania wizyty ceremonialnej, sekretarzowi stanu depar. spraw zagran.

P. P. polscy już tam zemną nie byli. Książe de Praslin przyjął mię w drugim przedpokoju i umieszczając mię po stronie prawej, wprowadził do swego gabinetu, gdzie usiadłem w krześle wyższem nad jego. Po wyjściu od ministra udałem się, zawsze jednak w towarzystwie sekretarza, do księżnej de Praslin, która przyjęła mię w drzwiach swego buduaru, dała mi twarz do pocałowania, a po podaniu jéj ręki dla wprowadzenia do gabinetu, zająłem krzesło wyższe od jéj krzesła.

Przy wyjściu od księcia de Praslin przepraszał mię tenże, że zmuszony będąc powracać do Paryża, nie może być na moim obiedzie. Po wyjściu zaś od księżnej de Praslin, posłałem dla zapisania mego nazwiska u innych sekretarzy stanu i powróciłem do sali ambassadorów, gdzie wprowadzający przedstawił mię mistrzowi dworu, przeznaczonemu do przewodniczenia uczcie, ofiarowanej mi przez króla (p. du Four), który spytał mię o godzinę, w jakiej chcę mieć przygotowany obiad.

Nakazałem rozdać pieniądze pomiędzy ludzi należących do służby dworskiéj podług listy nadesłanej mi przez p. de Segueville.

Gdy podano obiad, wprowadzono mię do sali i umieszczono przy środku stołu od strony kominka; wprowadzający zabrał miejsce z lewej, a mistrz dworu z prawej strony, sekretarz zaś przyboczny naprzeciw mnie. Ambassadorowie, ministrowie i inne osoby zagraniczne zaproszone, zajęły miejsca podług upodobania. Służba królewska posługiwała w kapeluszach.

Po skończonym obiedzie, przeszliśmy do sali ambassadorów na kawę,—wprowadzający zapytał mię w końcu o godzinę na którą żądać będę powozów dla powrotu do Paryża, dokąd zostałem odwieziony tym samym porządkiem w jakim przybyłem. Wprowadzający i sekretarz odprowadzili mię do mego appartamentu, ja odprowadziłem ich do połowy schodów, moi ludzie zaś do drzwiczek karety.

Ministrowie pełnomocni przy dworze francuzkim nie zwykli odbywać wjazdu do Wersalu i nie miewają audjencji publicznych, posłowie zaś nadzwyczajni, podlegający temu ceremoniałowi, żądają niekiedy uwolnienia ich od posłuchań, na co otrzymują zezwolenie, zwłaszcza, kiedy poseł nadzwyczajny, na którego miejsce przybył drugi tegoż samego narodu, już ten wjazd uskutecznił. Bywają żądane takowe uwolnienia pod pozorem zachodu i trudów, tak dla ministrów jak i dla dworu, ale w istocie dla unikania wydatków, nieodłącznych od podobnych wjazdów, mianowicie na pojazdy i liberję.

Dziś znajduje się przy dworze francuzkim dwóch posłów nadzwyczajnych, to jest Danji i Bawarji, inni ministrowie drugiego stopnia są albo ministrami pełnomocnikami lub też tylko ministrami, żadnego zaś rezydenta nie ma.

Posłowie nadzwyczajni przy dworze francuzkim mają pierwszeństwo przed ministrami pełnomocnemi. Wtorki są dniami, w których ministrowie zagraniczni udają się do Wersalu, dla towarzyszenia królowi i jego familji oraz dla narad z ministrem spraw zagranicznych. Udają się wszyscy do apartamentów tego ministra i tam każdy oczekuje swej kolei do wnijścia do jego gabinetu, a to stosownie jak który z nich przybył. Lecz jest jeszcze pewien rodzaj stopniowania pomiędzy ministrami i tak np. ambassadorowie przybywający zachowują pomiędzy sobą pierwszeństwo według tego jak przybyli, tak dalece, że nawet ambassadora cesarskiego wprowadzają do gabinetu według kolei przybycia. Po ambassadorach wprowadzani są posłowie nadzwyczajni i zachowują pomiędzy sobą taki sam porządek, a po tych ostatnich przychodzi kolej ministrów pełnomocnych i innych ministrów bez wydziału.

Ambassador, chociaż wszedł do przedpokoju w chwili, kiedy ministrowie drugiego stopnia już zaczęli do niego wchodzić, wchodzi zaraz do gabinetu, skoro minister drugiego stopnia mający tamże posłuchanie, z niego wyszedł.

Poseł nadzwyczajny postępuje takimże samym porządkiem względem ministrów pełnomocnych. Czy minister ma co do powiedzenia lub nie, obowiązany jest wejść do gabinetu, aby nie zauważano, który z nich miał konferencję, a który nie, — przy wyjściu zaś z konferencji, którą francuzi nazywają posłuchaniem, minister spraw zagranicznych zaprasza kolegów swoich na obiad do siebie, na którym wspólnie wszyscy się znajdują.

Starają się ile możności, o częste udawanie się we wtorki do Wersalu, gdyż kilkakrotna nieobecność ministra byłaby źle uważaną.

Jeśli cudzoziemiec życzy sobie być przedstawionym królowi, minister narodu, do którego tenże należy, przedstawia go w chwili gdy król z sypialni udaje się do gabinetu. Ażeby ministrowie zagraniczni mogli częściej widywać się z sobą w Paryżu, ustanowione

zostały zebrania ciała dyplomatycznego raz na tydzień u każdego z ambassadorów z kolei, na które ci ministrowie udają się około godziny 5-éj w wieczór na jedną tylko godzinę.

Podczas pobytu mego we Francji, prowadzenie spraw zagranicznych powierzone zostało księciu de Choiseul. Książe de Praslin uwiadomił nas o téj zmianie, i już 8 kwietnia ułatwialiśmy interessa nasze z księciem de Choiseul, od którego zażądałem 22 kwietnia wyjednania mi u króla, na dzień 6 maja pożegnalnej audjencji prywatnej i w tymże celu udałem się do wprowadzającego i sekretarza przybocznego, gdyż tylko oni są upoważnieni do odbierania rozporządzeń królewskich w téj mierze. Prosiłem także dnia tego księcia de Choiseul o przysłanie mi paszportów, jednego dla mnie, drugiego dla moich rzeczy, trzeciego dla karety, którą król, mój pan, kazał sprowadzić z Paryża, i o uwolnienie tych rzeczy od opłaty.

29 kwietnia wyjechałem do Wersalu i wprowadzony zostałem z kolei do ministra, przypomniałem mu o méj audjencji pożegnalnéj na następny wtorek.

5 maja odebrałem bilet od p. Segueville z wykazem pieniędzy, które należy rozdać w dniu pożegnalnego posłuchania. (Bilet i wykaz pod lit. G. jest w papierach moich).

6 maja wstąpiłem jeszcze do księcia de Choiseul, od którego dowiedziałem się, że król udzieli mi posłuchania jeszcze tego dnia i między 12 a 1. Wprowadzający i sekretarz przybyli oznajmić mi w sali ambassadorów, gdzie się znajdowałem, że już nadszedł czas mojéj audjencji.

Zatrzymałem się jeszcze chwilę w pokoju łoża królewskiego, poczem wprowadzono mię do gabinetu Rady, t. j. tegoż samego, w którym miałem pierwsze posłuchanie.

Wprowadzający i sekretarz wyszli i drzwi za niemi zamknięto; znalazłem króla stojącego, opartego o stół, mającego przy sobie ministra spraw zagranicznych, zbliżyłem się po trzykrotnie powtórzonym ukłonie, a gdy skończyłem, król rozpoczął zemną rozmowę, uczyniwszy kilka zapytań, — trwało to prawie kwadrans, w końcu król skinięciem głowy dał mi znak wyjścia. Wyszedłem więc cofając się po oddaniu obowiązkowych trzech ukłonów.

Zaprowadzono mię następnie na inne audjencje, podczas których obowiązany byłem mieć mowy, a ponieważ delfin odłożył moje posłuchanie na popołudnie, przeto udałem się do wnuczek króla, które zastałem razem, jak również i p. Adelaidę, Wiktorję, Zofję i Ludwikę, i jak poprzednio, w rozmowie z niemi używałem wyrazu *Madame*.

Królowa nie przyjęła mię jeszcze tego dnia aż dopiero w niedzielę, gdyż nieprzyjmowała nikogo, podobnie jak i delfinowa, któréj nie miałem zaszczytu widzieć. Następnie udałem się do księcia de Choiseul, którego nie zastałem, lecz wstąpiłem do jego małżonki.

Za powrotem do domu zastałem wprowadzającego i sekretarza z zawiadomieniem, że delfin oczekuje na mnie, udałem się zatem natychmiast i zastałem go z braćmi, do których w rozmowie używałem wyrażenia *Monseigneur*. Tegoż dnia zapisałem się u drzwi hrabiny de Noailles, księżnej de Brancas, i księcia de la Voguion, od którego w kilka dni później otrzymałem bilet wizytowy.

Ponieważ zapowiedziałem wyjazd mój z Paryża dopiero za dni dziesięć, książe de Choiseul oświadczył mi, że ma nadzieję zobaczenia się ze mną w tym przeciągu czasu, dla oddania mi listu królewskiego.

P. de Segueville zapytywał mię, jak długo zamierzam jeszcze pozostawać w Paryżu, a to dla stosownego znaglenia jubilera pracującego nad moim podarunkiem, który wprowadzający i on jako sekretarz mieli mi wręczyć.

8 maja książe de Choiseul nadesłał mi pasporta wraz z uwolnieniem od opłaty. (List zaś przy którym też pasporta załączył, oznaczony jest lit. H).

13 maja t. j. w następny wtorek, udałem się do Wersalu do księcia de Choiseul i oczekiwałem wspólnie z drugiemi mojej kolei. Lecz książe ujrzawszy mię, wprowadził z sobą do osobnego gabinetu, wręczył mi odpowiedź króla i zatrzymał mię na obiad, po którym oświadczyłem temuż księciu, że zamiarem moim jest pozostać jeszcze w Wersalu przez następną niedzielę dla widzenia pochodu *des cordons bleus*, nie żegnam przeto stanowczo ani jego, ani małżonki, gdyż chcę to uczynić dopiero w Paryżu.

17 maja książe ten nadesłał mi pasport z uwolnieniem od opłaty dla karety królewskiéj, (list zaś dołączony do tegoż oznaczony jest lit. I).

18-go, to jest w pierwszy dzień Zielonych Świątek otrzymałem audjencję u królowej, któréj spowiednik przed kilku dniami zawiadomił mnie listownie, że posłuchanie przez nią udzielone, wyznaczone zostało na tenże dzień.

20-go p. de Segueville wręczył mi podarunek królewski, składający się z portretu J. K. M. ozdobionego brylantami, wartości 12,000 liwrów, tłomacząc zarazem p. de Lalive, który z powodu nieobecności w Paryżu nie mógł towarzyszyć mu przy wręczeniu mi pomienionego daru.

Istnieje we Francji pewna etykieta co do podarunków królewskich, a mianowicie: ministrowie 1-go rzędu czyli ambassadorowie, 2-go rzędu czyli posłowie nadzwyczajni i pełnomocnicy otrzymują portret królewski ozdo-

biony brylantami. Co zaś do ministrów 3-go rzędu czyli rezydentów, jeśli takowi znajdują się przy dworze, to podarunkiem dla nich bywa tabakierka z portretem króla. Ministrowie bez wydziału, pomimo że najczęściej ich uważają jako będących na równi z pełnomocnikami, w tym razie mniej od nich mają praw, gdyż jeżeli który z tych ministrów po udzielonëm mu posłuchaniu otrzyma w darze tabakierę, zwykle jéj nieprzyjmuje z przyczyny, że życzy sobie być uważanym jako minister pełnomocny, czego gdy dwór nie chce przyznać, nie czyni żadnych podarunków.

Minister otrzymujący portret królewski, obowiązany jest uczynić podarunek wartości 50 luidorów wprowadzającemu, a sekretarzowi przybocznemu, również podarunek, lecz już wartości 25 luidorów.

Ja postąpiłem za przykładem innych. Powiedziałem p. de Segueville, że bankier mój otrzymał polecenie wywiązania mię z powinności względem wprowadzającego i sekretarza przybocznego, przysyłając im zbiór tabakierek do wyboru. Wprowadzający wybrał tabakierę o kilka luidorów droższą, sekretarz zaś przyboczny odebrał 25 luidorów w gotowiznie.

Pisałem w Warszawie dnia 4 Grudnia 1766 r.

F. R. Łoyko.

TRZY MAŁŻEŃSTWA CHYBIONE.

(Dokończenie).

— Miałżebym ożenić się z taką kobietą? i narażać całą przyszłość moją na nieskończony szereg chwil goryczy pełnych?

Powtarzajac te wyrazy i wiele innych, doszedłem do mieszkania mego biednego Gustawa, tak zaniedbanego przezemnie od trzech miesięcy.

Rzuciłem się w jego objęcia, wyjąknąwszy imię Narcyzy.

Widząc moje pomieszanie, Gustaw był pewnym, że moja narzeczona już nie żyje, i zaimprowizował żałobną mowę, przyozdabiając ją rozmaitemi przytoczeniami i pocieszając mnie braterskiemi słowy. Zaledwie mogłem go przekonać że owa młoda dziewica, tak łagodna, bojaźliwa, tak słodka w godzinach reprezentacji, w stosunkach domowych była nieznośnie cierpką, i to jéj usposobienie doprowadzało ją do głośnych scen.

Kiedy Gustaw zrozumiał to, czego długo jednak pojąć nie mógł, wystąpił z kazaniami dosyć nauczającemi, potem ścisnął mnie za rękę, i dojrzałem łzę w jego oku.

Kiedyśmy sobie wszystko prawie powiedzieli, Gustaw radził mi obrać śpiesznie środki stanowczę, dla odrobienia złego, które popełniłem.

Bez niego uległbym ciężkiéj klęsce, bo jak nie umiałem posuwać się, tak i nie umiałem się cofać. On to więc przekonał mnie, że pod jakimkolwiek pozorem, winienem był oddalić się na wieś, i że należało wyjechać tego samego wieczoru, pożegnawszy rodzinę państwa L. Usłuchałem jak dziecko, które nie umie rządzić sobą, a nawet uczułem zadowolenie z mego posłuszeństwa. Wsią, do któréj wysyłał mnie Gustaw, była moja pracownia, gdzie kazał przenieść moje łóżko.

Przepędzałem tam dnie i noce bardzo spokojnie, bo uczyniłem stałe postanowienie nie wracać do moich marzeń. Odzyskałem swobodę, a Gustaw słowami przyjaźni tyle mnie przekonywającemi, przypominał mi młodą osobę odznaczającą się talentami i rozumem — jednëm słowem pannę Różę.

Przedstawił mi ją powtórnie w kolorach najświetniejszych, skreślił postacie osób otaczających ją w sposób tak zajmujący, że przyobiecałem mu bywać w domu rodziców panny w dnie wtorkowe, jako dnie przyjęcia. Pierwszy wtorek zachwycił mnie. Drugiego wtorku, nie byłem już tyle olśniony blaskiem mojéj gwiazdy. Trzeciego wtorku, odkryłem na niéj skazy, te same, które zdawało mi się dostrzegać od pierwszego razu. I tak od wtorku do wtorku, widziałem światło tych promieni coraz bledsze i gasnące. Gwiazda z bliska widziana niszczy złudzenia, w które wprowadza. Spostrzegłem, że ta kobieta miała tylko piękną powierzchowność. Zawsze na swym piedestale, nie schodziła z niego nigdy, i wszystko u niéj było wypływem starannego obliczenia. Posiadała talenta więcéj powierzchowne jak rzeczywiste malowała nie rozumiejąc téj sztuki; grała a jednak prawdziwa piękność muzyki nie wzruszała jéj; pisała wiersze, a nie czuła ich znaczenia i bogactwo poezji było jéj obcem. Jednem słowem, była to organizacja bogata, świetna, brakowało jéj tylko: uczucia!

Zawsze celem jéj było uzyskanie pochwał, słów pochlebstwa. Nie dostrzegłem w niéj ani tego zaparcia się siebie, które pozwala domyślać się myśli i uczucia poświęconego drugim, ani tego uniesienia i zapału artystycznego, który uważa sztukę za bóstwo.

Na próżno szukałem tam trochę prostoty, trochę wesołości, którą tak miło znaleźć obok powagi i wykształcenia. Był tam rozum, ale zawsze tylko zimny rozum. Jakże to mało dla kobiety, tego godła pokoju dusz naszych, tego ogniska uciech rodzinnych! Gdzież tam znaleźć poświęcenie troskliwe matki? Czyż ten charakter dumny i pyszny ograniczy się na zamknięciu siebie w obrębie domowego kółka? Jak zdoła zwyciężyć pragnienia rozgłosu, i poświęcić piękność z któréj tyle jest dumną, na czuwanie przy kolebce dziecięcia?

Wprawdzie moje postępowanie w domu pani L., nie było innem jak całego grona młodzieży, która zgromadzała się tam każdego wtorku, w liczbie czterdziestu do pięćdziesięciu. Wycofanie się więc z ich koła, nie raziłoby nikogo. Jednakże wstrząśnięty tym wypadkiem do głębi, dostałem gorączki, i Gustaw musiał przywołać doktora.

Był to człowiek uczony, ale nie znał mojéj organizacji szczególnéj, i słysząc mnie powtarzającego gorączkowo wyrazy niezrozumiałe, osądził, że mam myśl samobójstwa i że należy strzedz mnie, z obawy abym się nie rzucił w rzckę. Mylił się, nigdy nie miałem podobnego zamiaru; odwiedzał mnie przez cały tydzień codziennie, a ostatnia jego bytność była bardzo śmieszną. Miałem szaloną gorączkę iw paroksyzmie żądałem pióra, papieru i atramentu.

— A to na co?— zapytał doktór.

— Na dwie etykiety.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Zbieram rośliny.

— Czy doprawdy?

— Tak jest, posiadam zielnik, ale ludzki, i tam chcę pomieścić moje narzeczone, dając nazwy jakie im się należą.

— Pana narzeczone?

— Tak panie.

Doktór wymówił te słowa tonem ironicznym, który oddalał wszelką myśl sprzeczki. Poczem wyszedł mówiąc do Gustawa, że jeżeli przytomność umysłu nie będzie wracać, i stan mój gorączkowy nie zmieni się, to należy przenieść mnie w miejsce bezpieczne. Biedny człowiek! miał mnie za warjata, a ja tylko byłem narzeczonym! i do tego niedoszłym.

Zaledwie doktór wyszedł, napisałem w mym zielniku co następuje i po zapisaniu imion których nie wymienię!

Familja drażniących: „Pomiędzy roślinami znanemi pod imieniem właściwem całemu ich rodzajowi *nerwowych*, spotyka się różne gatunki, mniéj lub więcéj jadowite. Jedne jako zamknięte w sobie, ukrywają woń swą tak jak i truciznę. Drugie nie wydają w żadnéj porze roku pączków, ani kwiatów, są one z rodzaju *obojętnych—nieczułych.* Inne nakoniec, za najmniejszym powiewem północnego wiatru, wydają wyziewy, które w około powodują zniszczenie; są to rośliny *zamknięte dubeltowe*, rozwinięcie ich kwiatu wydaje obok przykréj woni, przeraźliwy łoskot. Jeden tylko ich rodzaj obudza żywe zajęcie: są to *rzeczywiście nerwowe*, które się niepokoją najlżejszym powiewem wiatru, ale kryją się między liście, ażeby drugim roślinom nie udzielać swych cierpień.

Dajcie im powietrza, ciszy, otoczcie je staraniem, a w zamian wydadzą wam woń najdelikatniejszą."

Familja pysznych: „Jeżeli chcecie żeby rośliny *wyniosłe* i *dumne* kwitły, posadźcie je na gruncie wywyższonym, tak, żeby mogły same spożywać wszystkie soki ziemi. Mianowicie, otoczcie je niskiemi tylko roślinami, które nie mogąc nigdy im zrównać, pozostają zawsze u ich stóp. Dajcie im w wielkiéj ilości wszystkiego, co jest przyjaznem ich naturze, inaczéj ujrzycie liście ich żółkniejące i opadłe przed czasem, a z ich przepysznych kwiatów zostanie tylko pyłek. Tym roślinom potrzeba ciągle słońca, blasku— w cieniu zamierają. Nie wydają jednak zapachu, i nie zachwycają swym wdziękiem. Kwitną, jedynie dla tego, aby ich wyniosła postać była uwielbiona, nie bywają też nigdy zrywane."

W stanie tak przykrym, w jakim się znajdowałem, a jaki pogorszyła china przepisana przez doktora, otrzymałem list od prawnika, wzywający mnie do miasteczka, o którem wyżéj wspominałem i które znalazłem zupełnie zmienione. Rodzina X. z którą łączyło mnie tyle stosunków, osiadła na wsi. Małe dziewczynki stały się dorosłemi pannami. Ale ponieważ przybyłem dla sprawy, a ta przeniesioną została do miasta gubernialnego, musiałem tam podążać i osiąść na czas jakiś. Panowie adwokaci ciągłemi między sobą sprzeczkami, przedłużyli sprawę, a ja pragnąc doczekać się jéj ukończenia, cały czas mego w mieście pobytu, przebyłem w biurach sądowych. Oddany interesom, puściłem w niepamięć wszystkie przeszłe chwile.

Ach! jakiż piękny był dla mnie dzień wypoczynku! Zmęczony trudami sprawy, ale z innéj strony zadowolony, przybyłem do R. spocząć po gwałtownych przejściach i wrażeniach. Przebyłem tam całe lato. Wtenczas to ukazała mi się narzeczona, ale zupełnie innéj postaci jak poprzednie. Ona nie zakłóciła spokoju méj duszy, bo ją Opatrzność umieściła na méj drodze. Ale o téj, mówię tylko przed Bogiem i na klęczkach, tak jak zwykle składa się dzięki Stwórcy, za najwyższe jego dobrodziejstwo!

P. F.

TYNIEC I MONTE CASSINO.

Gdy stojąc na najwyższym szczycie góry, na której zbudowana pustelnia Kamedułów pod Krakowem, powiedziemy okiem w kierunku, zkąd Wisła przybywa, a dzień pogodny rozszerzy widnokrąg dla spojrzenia naszego, dostrzeżemy wśród załamków gór urwistych, zwaliska murów uwieńczone kościołem. I tęskna zaduma zrodzi się w sercu naszem bo to Tyniec, gdzie się zgromadziły najrozmaitsze wspomnienia upstrzone legendami bujnéj fantazji. Do tego miejsca kronikarz Bogufał przywiązał miłosną historję pięknéj Heligundy księżniczki wykradzionéj z Francji przez Walcera dziedzica stojącego tu grodu za pogańskich jeszcze czasów; tu Bolesław Chrobry wraz z żoną swoją Judytą fundował kościoł na cześć Sgo. Piotra i Pawła i sprowadził do założonego obok klasztoru, Benedyktynów. Benedyktyni, już ten wyraz nastręcza wspomnienie oświaty, ciszy i pokoju życia oddanego nauce i kontemplacji. Pojmujemy, że dla tych zakonników nie gwaru miast, ale szumu jodeł, gór unoszących ich ponad padoły, iglic skalistych, wskazujących im niebo, było potrzeba. Jeżeli uroczo przedstawia nam się Tyniec, nie mniéj pięknie położone jest sławne Monte-Cassino, pierwsze w całéj Europie Benedyktynów gniazdo, gdzie według pobożnéj legendy, anioł śnieżno pióry przyprowadził Sgo Benedykta. Było to w VI wieku, Benedykt młodziuchny syn senatora z Umbrji, zamknął się na życie samotne w blizkości Rzymu, tuż obok willi Nerona i miejsca niegdyś świadki bezecnych uczt rzymskiego władcy, stały się widownią życia, którego hartu w ciągłéj walce z sobą, zaledwie się możemy domyślać. Benedykt 30 lat przepędził w grocie, która jeszcze dziś ukazują. Koło niego zbierali się uczniowie, pół dzicy i nieokrzesani, nieosobliwi chrześcijanie, którzy obrawszy go za naczelnika, chcieli go potem otruć i używali nikczemnych sposobów aby wyprobować jego cnotę. Benedykt z kilkoma wybranemi opuszcza ich i rusza na południe po przez Apeniny, nie wiedząc sam gdzie mu się zatrzymać przyjdzie. Przybywa do małego miasteczka oddanego jeszcze pogaństwu; na wznoszącéj się nad niem górze była Świątynia Apollina, a nieco daléj gaje poświęcone Wenerze. Na tych wysokościach patricjusz Tertullus ojciec jednego z uczniów Benedykta posiadał własność i podarował ją nowo-przybyłym. Tu tedy pustelnicy rozpięli swój namiot [1]) tu Benedykt napisał regułę, która pozostała pierwszym i najdoskonalszym wzorem prawodawstwa klasztornego.

Od najpierwszych czasów klasztory na zachodzie były punktami środkowemi działalności umysłowéj; zakonnicy poświęcali nauce wszystek czas, który im zbywał od modlitwy i prac ręcznych. Ś. Benedykt nie tylko że nie stłumił tego literackiego kierunku, ale jeszcze go rozwinął w regule swojéj. Tam czuwając, żeby umysł braci był ciągle czynny, przepisuje im na post przeczytanie jakiego dzieła z biblioteki klasztornéj. Drugi artykuł reguły nakazuje, żeby każdy zakonnik opatrzony był w narzędzia do pisania, *graphium et tabulae* t. j. takie, jakie wówczas znano: rylec i tabliczki. W kilka wieków po śmierci fundatora, gdy Benedyktyni stali się panami wielkich włości, przepisywanie rękopismów i prace literackie stały się ich wyłącznem zatrudnieniem, i w taki sposób trzymali się bardziéj ducha niż litery swego zakonu. Alfons Dantier który nie dawno wydał dzieło rozkupujące się obecnie w 2éj edycji pod tytułem: „*Zakony Benedyktynów we Włoszech* [2])", dzieło nauki, w którem gorliwość antykwarjusza nie mniejszą jest od zapału artysty i głębokiéj wiary człowieka oświeconego, pięknie opisuje żywe zajęcie, jakie w nim wzbudził widok tych pargaminów z prześlicznemi miniaturami będącemi całą galerją historycznych portretów i ubiorów, z obrazkami o żywym jeszcze mimo wieków kolorycie i artystycznym rysunku z żywota Chrystusa i Marji, o tych ramach misternych, otaczających stronnice pisma splotami liści i arabesków wdzięcznych a wytwornych. Mimo kilkakrotnych zniszczeń biblioteka Monte-Cassino jest jeszcze bardzo bogata. Zniszczenia te dały powód Dantemu i jego komentatorom do zarzutu, że księgi tarzają się po korytarzach, a mnisi wycinają z nich obrazki i sprzedają ludowi za nizką cenę. Książki były zapewnie rozrzucone po jednem z najść żołdactwa, które nie raz pladrowało klasztor Monte-Cassino, a że właśnie w tym czasie powstała w klasztorze szkoła miniaturzystów, więc być może, że wtedy sprzedawano owe obrazki. Tak Dantier tłomaczy tę sprawę według O. Tosti, który wymownie podniósł zarzuty uczynione Benedyktynom.

„Archiwa klasztorne (mówi Dantier) zawierają nader ważny zbiór 800 oryginalnych dyplomów czyli nadań i przywilejów, które

[1]) Monte-Cassino leży w Neapolitańskiem, na drodze do Rzymu.

[2]) Dzieło to znajduje się w księgarni Gebethnera i Wolfa

otrzymali Benedyktyni od papieży, cesarzów, królów i książąt różnych. Wszedłszy do tego przybytku nie tylko jako znawca, ale jako ciekawy, już się doznaje pełnego czci wrażenia; wrażenie wzrasta, gdy dotykamy te szacowne dokumenta, chcąc się im bliżéj przypatrzyć. Zdaje się nam bowiem, że prochy wieków rozstępują się przed nami, ażeby nam w nieomylnych rysach życie minionych pokoleń przedstawić. Widzimy przed sobą jakby rozpierzchnięte, milczące członki wielkiego ciała historji, ale oto nauka objaśnia nam ich znaczenie i wnet w oczach naszych zdają się zbliżać do siebie i układać do życia wraz z ludźmi i wypadkami swych czasów. I wydaje nam się, że z tych pisanych dokumentów, które badamy z nienasyconą żądzą wiedzy, przeszłość ku nam się wychyla i że dowiemy się wkrótce o nowych jéj tajemnicach, które dotąd uszły wszystkim poprzednim badaniom".

Gdy w r. 1799 Francuzi wpadli na Monte-Cassino mszcząc się za powodzenia kardynała Ruffo, zniszczyli klasztor straszliwie.

W czasie ogólnego rabunku zakonnicy przerażeni złem obejściem żołnierstwa uciekli. Przy bibljotece i archiwum pozostał tylko jeden młody braciszek Gattola, godny synowiec uczonego Erazma Gattola. Gdy dostrzegł zbliżających się rozwścieklonych żołnierzy, stanął we drzwiach z rozpostartemi rękoma usiłując im bronić przystępu do cichego nauk przybytku. I przystanęli chwilę, szydząc z tego mnicha, który ich uzbrojonych usiłował zatrzymać bezbronnemi rękoma, aż nareszcie jakiś śmiałek nikczemny dobył pałasza i od jego razów młodzieniec padł na progu we krwi zbroczony. Nadbiegli oficerowie, a oburzeni tym widokiem, dawszy ratunek rannemu chcieli, żeby im wskazał winowajcę. Ale odmówił im tego bohaterski zakonnik i urazę swoję poświęcił miłości bliźniego tak, jak pierwéj miłości nauki chciał życie poświęcić.

Posłuchajmy jeszcze, w jaki sposób Dantier opisuje swój wstęp na górę i do klasztoru „Im bardziéj wstępowaliśmy na wysokość, tem droga wśród skał stawała się trudniejszą, ale też i widnokrąg przed nami się rozszerzał robiąc wrażenie dzikiéj wielkości przygotowujące nas do celu naszéj podróży. Wszedłszy na pierwszy wierzchołek Monte-Cassino zatrzymaliśmy się zachwyceni krajobrazem, jaki się rozwijał przed naszemi oczyma. Na dalekim krańcu widnokręgu rysował się łańcuch Apeninów, których najwyższe szczyty śniegiem były pokryte. Niektóre z tych szczytów według tego jak się łamały ich pochyłości, przybierały dziwne barwy od blasku promieni słońca. Niebo było szafirowe, doliny pogrążone we mgle białawéj, przypominały jezioro okryte pianą wód, z pośród nich sterczące skaliste wierzchołki czerniły się jak wysepki na tem morzu chmur. Gdy nareszcie wstąpiwszy jeszcze wyżéj, ujrzeliśmy po raz pierwszy wysokie mury klasztoru, wydał nam się bardziéj fortecą, niż pustelników schronieniem. Nierówność gruntu więcéj może niż wojna, która często burzyła pokój tego ustronia, usprawiedliwia kształty téj architektury bardziéj wojennéj niż religijnéj. Pierwszéj bramy strzegą dwa wyniosłe lwy z kamienia; tą bramą wchodzi się pod ogromne ponure sklepienie wykute w skale, mające być niegdyś fundamentem wieży, w któréj mieszkał S. Benedykt. To sklepienie ma w sobie coś przejmującego, a w jego głębi dopiero roztwiera się furta klasztorna."

Tu tedy niegdyś na zwaliskach świątyni Apollina wzniosła się świątynia chrześcijańska, przy któréj grono światłych pustelników stanęło na straży; świątynia ta często niszczona, zawsze odbudowywana, przez XIII wieków macierz zakonu Benedyktynów, któréj nasz Tyniec był filją. Przez te XIII wieków nieraz przerodziła się społeczność, barbarzyńcy obozowali u stóp świętéj góry, jeden z ich wodzów zatrzymał się zwyciężony przez wymowę zakonnika, który zeszedł wyrzucać mu jego postępki. Żołnierze cesarzów niemieckich, pędząc na zdobycie Włoch południowych, walczyli w tych okolicach; byli tu hiszpanie i francuzi, rewolucje i przeróżne dynastje następowały po sobie, a opactwo benedyktyńskie bogate czy zubożałe stało zawsze niezachwiane w majestacie swoim. Tu szukali pokoju synowie i bracia królów i niejeden papież, a między niemi sławny Grzegorz VII znalazł tu schronienie. Tomasz z Akwinu, uczony, późniejszy święty, był uczniem szkoły klasztornéj. Przybiegali doń poeci ukoić wzburzenie swego umysłu, artyści jak Luca Giordano i Bassano, pokrywali mury jego arcydziełami malarstwa, słowem nazwiska wszystkich ludzi sławnych, wielkich, uczonych, którzy tędy przeszli, to cała historja przekształceń moralnych jakim uległ Zachód.

Jako dowód dziwactwa losu następujący szczegół nie mniéj ma znaczenia. Przed laty pewien cudzoziemiec zwiedzając opactwo zatrzymał się w archiwum i przeglądał stare rękopisma, pomiędzy któremi dostrzegł jeden świeższy. Na jego zapytanie coby to było, archiwista odpowiedział skromnie, że to historja opactwa napisana przez niego samego.

— Dla czego nie drukujecie téj pracy, która ze wszech miar obiecuje być zajmującą? zapytał.

— Dla téj przyczyny, odpowiedział archiwista, że jesteśmy ubodzy; ważniejszą jest rzeczą podtrzymywać mury które się walą niż

drukować książkę, któréj może nikt czytać nie będzie.

Cudzoziemiec zdziwiony nic nie odpowiedział, ale wkrótce opat miejscowy otrzymał summę potrzebną na wydrukowanie dzieła. Tem dziełem była znakomita *historja Monte-Cassino* przez Ojca Dom Luigi Tosti a cudzoziemcem—Rotszyld! Izraelita więc był niejako ojcem chrzestnym historji opactwa napisanéj przez zakonnika.

Zważmy co się tu odrazu daje widzieć najdobitniéj, że instytucje mające największą przyszłość, poczynają zwykle skromnie, ale zawsze zrodziła je myśl głęboka nie ulegająca żadnemu wyrachowaniu, żadnéj pospolitéj ambicji. Benedykt kładąc podwaliny przyszłego opactwa, nie miał innego celu, jak zapewnić dla swoich uczniów schronienie, w któremby się mogli modlić i pracować wspólnie, oraz udzielać pomocy biednym, a bogatym gościnności. Jednakże z pośród murów, które ubodzy zakonnicy rozpoczęli własnemi rękoma wśród tysiącznych trudności, wyszedł zakon, który się rozszerzył na świat cały, był na czele wszystkich stowarzyszeń religijnych, miał znaczenie polityczne w walkach papieży z cesarzami, oraz w starciach domu szwabskiego z domem andegaweńskim. Już do czasu soboru konstancjeńskiego zakon ten dał kościołowi 24 papieżów, 200 kardynałów, 1600 arcybiskupów, 8000 biskupów a iluż to świętych był kolebką!..... Mówimy o naszym Tyńcu, że był zamożnym klasztorem, bo posiadał 100 wsi i 5 miast, a oprócz tego osobne dla opata dochody, lecz to drobnostka w porównaniu bogactw ojców z Monte Cassino, którzy mieli 2 księstwa, 20 hrabstw, 440 miast i wsi różnych, 250 zamków obronnych, 335 mniejszych, 23 portów morskich, 1662 kościołów. Sami papieże nie zawsze bywali tak bogaci. Przechowują się dotąd drzwi ulane z brązu które przed wieki podarował kościołowi benedyktyńskiemu grek z Amalfji. Na tych przepysznych podwojach wykonanych przez artystów konstantynopolitańskich wypisane są srebrnemi literami wszystkie nazwy miast, zamków i posiadłości opactwa. Tak w Tyńcu jak i w Monte-Cassino, opatami bywali ludzie możnego rodu a często miłośnicy sztuk i nauki. Dziwnem przeciwieństwem stało się, że kiedy państwa wyzwalały się politycznie, absolutyzm wkorzeniał się i powiększał w świecie duchownym i karność zakonna stawała się najwyższym ich ideałem, a niezachwianie jéj największéj ulegało baczności. Dawniéj zgromadzenia



Kościół i klasztor Benedyktynów w Tyńcu.

klasztorne używały pewnéj autonomji, tak potężna figura jak opat był wybieralny. Skoro ten umarł, przeor brał tymczasowy kierunek spraw opactwa, insygnia zaś opata: laska i księga z regułą, składane były na ołtarzu S. Benedykta. Następnie zakonnicy się zbierali i podzieliwszy się według starszeństwa wybierali przez głosowanie trzech kapłanów z pomiędzy siebie, którym powierzony był wybór opata, była to więc elekcja o dwóch stopniach. Skoro ci trzéj wybrali opata, przeor wygłaszał jego nazwisko przed wszystkiemi zakonnikami. „Chcecież go pytał? czy się wam ten wybór podoba?" Zgromadzenie odpowiadało. „Tak! chcemy, podoba nam się ten opat."—„A więc przyjmijcie go, mówił daléj przeor." Wtedy wybranego sadzano na krzesło opackie, oddawano mu klucze od kościoła, bibljoteki i wszystkich gmachów klasztornych i trzos pełen pieniędzy dla rozdania ich ubogim. Papież potwierdzał tylko elekcję i jakkolwiek opat miał wielką władzę, były jednak wypadki, gdzie musiał się radzić starszych zgromadzenia, a nawet zwoływać radę ze wszystkich zakonników. Oprócz, że papież potwierdzał opatów, miał jeszcze prawo wyjątkowe zwane komendatoryjnem nominowania tymczasowego administratora po śmierci opatów. To prawo stało się wkrótce regułą i bogate opactwo bywało dawane prałatom dworskim, synom możnych rodzin, którzy rządzili opactwem z daleka, pozostając zupełnie obcymi jego prawdziwym interesom.

Naprożno przeciwili się temu zakonnicy, opierając się na swojem prawie elekcji. Ciągle już im odtąd narzucano opatów, często niespokojnych intrygantów, mających zupełnie inne cele niż dobro zgromadzenia, które powoli upadać zaczęło.

W Tyńcu opaci komendatoryjni nastali w końcu XVI wieku z woli królewskiéj. Po śmierci opata Mikołaja Mieleckiego syna kasztelana krakow., który sam będąc miłośnikiem nauk rozkrzewiał je w zakonie, założył szkołę, sprowadzał biegłych nauczycieli, i zakupywał książki i narzędzia matematyczne. W XVII wieku Szwedzi zrabowali i tak zniszczyli gmachy Tyńca, że zakonnicy aż do Węgier chronić się musieli. Wszakże gdy pokój nastąpił przywrócono znów świątynię do pierwotnego stanu. W końcu XVIII wieku dobra księży Tynieckich stały się własnością rządów pod których przeszły panowanie, w roku zaś 1815 zgromadzenie Benedyktynów skasowane, opuściło na zawsze to miejsce. Jednak gmachy

pozostały jeszcze w całéj swéj wspaniałéj piękności. Dopiero za pobytu tam Jezuitów r. 1834 uderzył w nie piorun i zamienił w gruzy, z których się już klasztor niepodźwignął a kościół z wielu starożytnych ozdób odarty na parafijalny przemieniono.

Zgromadzenie Monte-Cassino lubo jeszcze pozostało na swej górze, ale w zasadzie już też nie istnieje. Wiadomy dekret z 7 lipca 1866 r. skasował we Włoszech bezwarunkowo wszystkie klasztory. Postanowienie to zrodziły wypadki bardziej niż ludzie. Rozwój bowiem cywilizacji fatalnie sprowadza niemożebność pogodzenia niektórych idei i instytucji; to co miało ważną przyczynę istnienia w przeszłości, staje się już często na dzisiaj anomalją.

Gdy już przeszło dziesięć lat temu pierwszy raz w piemontskim parlamencie dyskutowano o zniesieniu klasztorów, hr. Cavour odpowiedział tym, którzy mu wyrzucali, że jest rewolucjonistą: „Potrzeba nas nagli... należy przyzwyczaić lud do pracy, a więc ile możności tępić żebractwo, żeby je zaś wytępić, nie dosyć je zapisać jako występek w kodeksie karnym, ale trzeba wprawić lud do uważania go za rzecz hańbiącą. Lecz w jakiż sposób dalibyśmy o tem jasne ludowi pojęcie, gdybyśmy pozostawili przed jego oczyma tyle zakładów godnych szacunku, a mających za podstawę istnienia swego żebractwo, i jakżebyśmy śmieli karać i chwytać ludzi oddających się żebractwu, gdybyśmy obok tego obsypywali darami i przywilejami klasztory, które się właśnie z tego chlubią, że są żebrzącemi.”

Karol de Mazade, od którego poczerpnęliśmy niektóre szczegóły o losach Monte-Cassino powiada: „Oprócz wypadków historycznych, to jeszcze zgubiło klasztory, że uleciał z nich duch, co je zrodził i pozostał żywym w niektórych tylko ich członkach, absorbujących w sobie całą potęgę żywotności, jaka dawniéj była ogólną cechą zgromadzeń. W nich niegdyś tonął człowiek pojedynczy, nie znać było jego osobistości, dziś przeciwnie odznaczająca się tylko osobistość daje chwilowy blask życia zgromadzeniu. Nieszczęściem jest dla zakonów, że nie postępowały z wyobrażeniami czasu; ile społeczność cywilna zyskiwała, tyle oni tracili. Cywilizacja rozwijała się, rosła — oni pozostali nieruchomi, materjalizując się niejako wśród reguły, z której zachowali rutynę praktyk najpowszedniejszych. Zamiast się skoncentrować dla zachowania siły, rozdrobnili się, rozbili w proch na różnorodne kongregacje. Nie zliczyłby nazwisk zgromadzeń zakonnych, które były w królestwie Neapolitańskiem, w ostatnich latach panowania króla Franciszka: augustjanie trzewiczkowi, augustjanie bosi, benedyktyni z Monte-Cassino, benedyktyni biali, barnabici, cystersi, kameduli, franciszkanie, bracia mniejsi Śgo Franciszka de Paulo, filipini, sakramentyni, obserwanci, passjoniści, alkantarzyści, kapucyni i t. p. Benedyktyni tem się wyróżnili, że pozostali pożyteczni nauką. Historja zawdzięcza im drukowanie najważniejszych dokumentów. Stają się oni coraz bardziej zakonem, nie powiem liberalnym, żeby nie przesadzać, ale przychylającym się z głębi pustelni swojéj do pojęć obecnych czasów.”

Tak więc we Włoszech zeszłego wieku wydano wyrok kassacyjny na wszystkie bez wyjątku klasztory, nawet na te, które były poświęcone usługom bliźnich, jak siostry miłosierdzia, o których także Cavour r. 1855 mówił: „Miałbym skassowanie sióstr miłosierdzia za największy błąd; uważam bowiem, że to zgromadzenie czyni zaszczyt religji i saméj nawet cywilizacji.”

Uważając te słowa męża stanu, który tak trzeźwo patrzał na wypadki, jako będące niejako wyrazem potrzeb społeczeństwa, wnosić można, że niektóre zgromadzenia żywotniejszego ducha i bardziej potrzebne ludzkości się utrzymają. Kto wié zatem czy nie pozostaną i Benedyktyni z Monte-Cassino, bardzo lubieni we Włoszech, zwłaszcza jeżeli wyrazem ich usposobienia jest znakomity pisarz, wspomniony już O. Tosti, który powiada o sobie: „nie mieszam się do czynu, bo jestem zakonnikiem, lecz nie przybieram dawnych barw Gwelfa lub Gibelina, pozostaję tylko zawsze Włochem i Katolikiem.” Zakon Benedyktyński nie może być szczytniej uosobiony jak w znakomitej postaci O. Tosti. „Benedyktyni (utrzymuje on) nie żyją wśród świata, ale wśród ludzkości, więc lubo ich obowiązkiem jest, nie wiedzieć co się dzieje między ludźmi, byłoby przeciwnie z ich strony ciężką winą, zapoznawać w dziejach świata rozwój opatrznościowy wypadków; dla zakonników ludzkość przedstawia się jako podróżny nie znający spoczynku, który potrzebuje być oświeconym aby dojść do cnoty. Punktem, z którego nań bije łuna rozjaśniająca mu drogę, jest krzyż zbawienia. W tem nieustającem świątle zatopieni zakonnicy są w stanie odczuć i dojrzéć nie jedno co ujdzie baczności ludzi zaprzątniętych światowemi sprawami.”

Dowiedziawszy się o projekcie skasowania zakonów, O. Tosti zaniósł do parlamentu prośbę aby on i jego bracia mogli pozostać przy grobie ich świętego założyciela i przy téj sposobności przypomniał wymownie zasługi, jakie zakon jego, a w szczególności opactwo Monte-Cassino położyło w sprawie cywilizacji. Ze sprawiedliwą dumą opowiedział jak barbarzyństwo germańskie przez

chrześcijanizm podbite zostało i pochodnia zagasła nauki postawiona ze czcią na ołtarz. Kto przechował zabytki sztuki starożytnéj, przepisywał i kommentował księgi święte, kto upowszechnił drukiem kroniki narodowe? Tu wyliczył szereg znakomitych teologów, historyków, poetów, artystów, którzy albo się wychowali w szkole Monte-Cassino, albo też oblekli sukienkę zakonu.

Dzisiejsi Benedyktyni wstępują w ślady poprzedników. W drukarni opactwa odbijało się: *Atheneum włoskie*, do którego pisali ludzie tacy, jak Gioberti, Balbo, Troya, Pellico, Rosmini. Pod wpływem silnego współczucia dla światłych zakonników, Wincenty Gioberti wołał z zapałem: „Wspaniały klasztorze z Monte-Cassino, ty kolebko i stolico instytucji Sgo Benedykta, porcie do którego się chronią rozbitki barbarzyństwa, poważny i cichy zarazem, co z tak wysoka patrzysz, na piękny kraj cię otaczający, obyś mógł przykładem swoim zachęcić ludzi, do wprowadzenia w życie tak upragnionéj zgody między niebem i ziemią."

Nasze czasy mają w sobie to przejmującego, że widzą rodzące się pojęcia, których doniosłość trudno odgadnąć i patrzą na konanie tego, co miało niegdyś swą wielkość ogromną. Tu się nowe tworzy, a tam się dawne rozpada. Dla tego to takie wrażenie pełne tęsknoty i zadumy, rodzą w nas owe stare gmachy klasztorne, niegdyś tak ożywione i ludne, które dziś zalega milczenie i tajemnica. Wśród pustych korytarzy leżą odłamy posągów, pomiędzy szczątkami płyt grobowych, bujna trawa wyrasta i stare zaciera napisy; coraz bardziéj czernieją mury i coraz smętniejsze po nich rozlega się echo, jakby jęk żalu nad tém, że rozerwał się bezpowrotnie węzeł, który je łączył ze światem zewnętrznym. Czujemy od razu że na dziś już te mury nie mają żadnego znaczenia, ale strzeżmy się sądzić dawne instytucje według naszych pojęć dzisiejszych, lub też według tego, czém się stały u schyłku.

J. Dobieszewska (Smigielska).

DWIE POTĘGI

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlach.—Przekład z niemieckiego przez K. R...

I.

Książe i żydek.

— Spodziewam się żeśmy już wszystko obejrzeli i możemy powrócić do hotelu na obiad?—

— Nie, Mości książe—jeszcześmy nie widzieli wszystkich osobliwości wspaniałego Frankfurtu, a ponieważ mamy jechać zaraz po obiedzie, przeto koniecznie, wypada nam teraz wszystko dokładnie obejrzéć.

— Cóż tam jeszcze pozostaje do widzenia?— zapytał mały książę wzdychając— upewniam ciebie mój szambelanie, że ja i połowy z tego, cośmy widzieli nie spamiętam,o co moja matka pewno się będzie gniewać na mnie.

— Trzeba żebyś książe zawczasu ćwiczył swoją pamięć— rzekł szambelan baron von Emptich.— Dobra pamięć jest wielkim przymiotem, zwłaszcza u księcia.

— Czy tak szambelanie?!— zapytał chłopczyk, podnosząc w górę błękitne oczy i wpatrując się wzrokiem przenikliwo-szyderczym, w szlachetne oblicze swego nauczyciela. Powiadasz, że nie wolno jest księciu o niczem zapominać? A przecie samiście mnie nie dawno mówili, że panujący nie powinien pamiętać doznanéj urazy. Powinien być wspaniałomyślnym i starać się zapomnieć każdą względem niego popełnioną niesprawiedliwość.

— Nie mówiłem zapomnieć, lecz przebaczyć, książe, odrzekł uśmiechając się baron.— Lecz w saméj rzeczy uważam, że książe masz doskonałą pamięć i nie wątpię, że zapamiętasz wszystko cośmy tu we Frankfurcie oglądali, i że ta pierwsza wasza wycieczka po kraju nie została dla was bez pożytku.

— Powiedz że mnie nareszcie baronie— zapytało dziecko— dokąd mnie prowadzisz?— co znaczą te ciasne i brudne ulice?— Patrzajno, przed nami jakieś śpiżowe wrota ustawione w środku ulicy! A jakże tam za temi wrotami okropnie!— gdzieżeśmy zaszli baronie, nie pojmuję co może być ciekawego do widzenia wśród tych ciasnych i odrażających ulic?

— Powiadam wam książe, że znajdziecie tu coś nadzwyczaj ciekawego do widzenia; a tém jest: *ludzka nędza!!!* odpowiedział poważnie baron; ująwszy książęce dziecko za rękę i wprowadziwszy je w sam środek szarych i brudnych wrot, z lubością wpatrywał się w zaciekawioną twarzyczkę swego wychowanka. Książe! rzekł on mu, przeznaczeniem dnia dzisiejszego jest, ażebyś poznał drugą wielką prawdę z ust moich. Powiedziałem wam już pierwszą dzisiaj rano w sali cesarskiéj. Staliście wówczas na balkonie, gdzie cesarz niemiecki, otoczony największym ziemskim przepychem, wyniesiony po nad wszy-

stkich ludzi, nie uznając innych praw nad sobą, jak tylko te, które mu Bóg i własne sumienie nakazuje, pokazywał się w całéj swéj wielkości ludowi, witany okrzykami radości. Teraz, stanąwszy przed temi wrotami, u wejścia tych brudnych ulic, z czarnemi i obrzydliwemi domami, teraz, gdy mamy oglądać odwrotną stronę medalu, powiem wam drugą Dla tego też chciałbym pokazać wam staroświecką, ubogą, a pokorną ulicę żydowską Frankfurtu—Ghetto!

— Ulicę żydowską?— zawołał chłopiec odskakując z odrazą. Ale ja jéj nie chcę widzieć, panie szambelanie; nie pojmuję co w tém może być ciekawego, jak tam brudni żydzi mieszkają w swoich cuchnących domach. Nie cierpię żydów! gdyż wiem, że to są wszystko źli i okropni ludzie, z któremi jedno zetknięcie się już kazi; dla tego zabroniono im— i słusznie mieszkać na jednéj ulicy lub w jednym domu z chrześcjanami. Każdy żyd jest żebrakiem, skąpcem, szachrajem lub oszustem!

— Książe Wilhelmie! rzekł na to ostro baron von Emptich.— Przypomij sobie, że nasz Zbawiciel świata Jezus Chrystus, też był żydem.

Chodź książe, musisz oglądać to miasto żydowskie, widok jego niech was nauczy być litościwym; przekonaj się naocznie jak to przesąd ludzki, cały lud pogrąża w nieszczęście, poniżenie i hańbę. Chodźmy!

I nie czekając odpowiedzi, wziął za rękę młodego księcia, przestąpił z nim wysoki, żelazny próg, położony w poprzek ulicy od jednego do drugiego filaru wrot spiżowych.

W tem wyskoczył z boku chłopiec, w obszarpanéj i brudnéj odzieży, z czarną jarmułką na głowie, pokrywającą gęsto, kędzierzawe włosy i stanąwszy przed niemi patrzał zuchwale i ponuro swojemi, czarnemi iskrzącemi się oczkami.

— Nie potrzeba żebyś pan wprowadzał książęcia do naszego miasta, rzekł do wchodzących właściwym żydom żargonem.

Chodźcie tu do mnie, zakrzyczał: Boruch, Sora, Szmul, słuchajcie no Rachel, Jakób, Abraham, Laban; oto paniątko, które nas mianuje żebrakami i powiada żeśmy wszyscy oszustami!

Gdy tak różne imiona wykrzykiwał przenikliwym, donośnym głosikiem, pootwierały się drzwi we wszystkich bliskich domach, i wysypała się na ulicę gromada, czarnookich, kędzierzawych, brudnych i obdartych żydziaków.

— Ny, co on powidział? Jak on nas łajał Mayer Anzelm?—pytali się jeden przed drugim.

— On powiedział— krzyczał chłopczyk— że my żydzi....

Lecz w téj chwili ujął szambelan silną dłonią małego Mayer Anzelma za plecy, tak że ten stanął osłupiały, a potem zawołał:

— Jakto? nie lękasz się pan ująć brudnego żyda swoją białą pulchną ręką za plecy, dotykasz mi się pan bez obawy dostania krosty?

— Cicho bądź moje dziecko— rzekł poważnie szambelan— zaprzestań na chwilę krzyczeć, gdyż inaczéj musielibyśmy wyjść ztąd, coby było z własną waszą krzywdą, bo niezostawilibyśmy żadnego podarku dla waszych ubogich i chorych.

— Panie baronie będę milczał— odpowiedział chłopczyna, którego wzburzone oblicze przybrało w téj chwili wyraz uszanowania i uległości.

— Podsłuchałeś nas?— zapytał baron.

— Podsłuchać!?— nie, ale słyszałem. Stałem przypadkiem za filarami jakeście tu nadeszli, musiałem więc mimowoli słyszeć zarówno wasze przestrogi, jak i mowy małego księcia.

— Przyrzekłeś mi, że będziesz milczał; proszę cię więc milcz i pozwól nam przejść— rzekł baron wyjmując z kieszeni sztukę złota i wciskając ją chłopcu do ręki. Mayer Anzelm oburzył się i chmura gniewu przebiegła po gładkiem jego czole.

— Nie jestem żebrakiem— panie!— krzyknął, nie prosiłem was o żaden datek, a nie zasłużywszy, nic też od was darmo nie przyjmę.

I zgrabnym poruszeniem palców odrzucił daleko od siebie pieniądz; ten potoczył się po brudnéj ulicy wyglądając śród błota jak mała gwiazdka.

Dzieci, które stały dotąd koło nowo przybyłych, rzuciły się jedno przed drugiem na pieniądz, każde chciało go posiąść. Rozpoczęła się bitwa, z któréj prócz rąk podejmowanych do góry, wywracania koziołków, krzyku i wrzawy nic nie można było rozróżnić.

Mały książe zapominając o trwodze, wystąpił z po za nauczyciela i zaczął przypatrywać się téj scenie z wielkiem zadowoleniem-- przeciwnie Mayer Anzelm oburzony takiem poniżeniem swoich ziomków; zmarszczył brwi z widocznym bólem.

— Panie baronie! rzekł prędko— podobno pan chciałeś pokazać jego książęcéj mości żydowskie miasto— Ghetto?— Jeśli się to panu podoba, mogę mu służyć za przewodnika, i pokazać całą wielkość i przepych naszego miasta. Gdyż nasza wielkość— jest to nasza nędza!— a naszym przepychem, jest brud i błoto na naszych ulicach. Chceszże pan żebym mu to pokazał?

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z PARYŻA.

II.

6 Maja 1867.

Pomiędzy pierwszym a tym drugim listem moim rok czasu upłynęło [1]). Po tak krótkiéj znajomości a tak długiem niewidzeniu, rozpoczynając dziś znowu rozmowę, nie wiem sam doprawdy jakiego użyć sposobu, aby się pamięci czytelników przypomnieć, i chwilę obecną z ową już dawno przebrzmiałą połączyć. Jużem był sobie wówczas przędzę nagromadził i wątek umotał, gdy w tem okoliczności kazały rzucić zaczętą robotę, na długo, na rok cały: tak że gdy teraz myślą do mego pierwszego listu powracam, wątku już jego pochwycić nie umiem, a cała przędza myśli moich tak pogmatwana, jak gdyby złośliwy chochlik jaki, zakradłszy się podstępnie do krosienek dziewczyny, wszystkie jéj różnobarwne włóczki umyślnie pomieszał i splątał.

I czytelnicy też moi z pewnością również zapomnieli o tem maleńkiem rodzinnem kółku na obczyznie, które im wówczas skreśliłem; zapomnieli o panu Ignacym sensacie, może nawet i o żywéj pannie Auguście, a sam niefortunny autor listu, to już na pewno wyszedł z ich pamięci...

Wszak tyle czasu upłynęło, a czas leci tak szybko, a pamięć ludzka—tak krótka!..

Lecz jeśli która z czytelniczek moich lepszą jest obdarzona pamięcią, jeżeli w słowach naszych znalazła coś takiego, co trąciło o struny jéj serca; coś, co i mnie nieznanego i całe kółko moje od razu jéj jakby od dawna dobrze już znanem zrobiło, to taką łaskawą czytelniczkę bez ceremonji do naszego grona na wieczorną zaprowadzam gawędkę i rozumie się, na filiżankę herbaty, uczucie bowiem gościnności pomimo zmiany stopnia szerokości jeograficznéj pozostało takiem samem, jakiem się je wyniosło z pod rodzinnéj strzechy. Cała rzecz, że nie można tu już powiedzieć: czem chata bogata, tem rada—porównanie bowiem pięciopiętrowego paryzkiego domu do naszéj niskiéj wiejskiéj chaty byłoby może zbyt naciągniętem.

Więc proszę, bez ceremonji—domowe kółko moje zebrane w pełnym komplecie: cała różnica żeśmy wszyscy o rok starsi, a pan Ignacy stał się bardziéj zrzędnym i zgryźliwym, ale mu to już jako staremu kawalerowi wybaczyć należy.

Oto i w téj chwili w złym jest jakoś humorze, i ośmiela się wyrzekać na to, co jest dziś przedmiotem powszechnego podziwu i zajęcia—na Wystawę.

[1]) List pierwszy w zeszycie 4—1866 r.

— Wyobraźcie sobie, moi państwo, powiada; ci właściciele hoteli potracili głowy.

— Rzecz to dla nich arcykorzystna, przerywa panna Augusta, dowodzi bowiem, że je dawniéj mieli.

— Tak, śmiéj się pani, z goryczą mówi Ignacy, a ja od jutra jestem bez mieszkania, i nie wiem gdzie je znaleźć potrafię.

— Jakto, czyż je panu wymówiono?

— Coś w tym rodzaju. Właściciel hotelu, nie zważając na to, że mieszkam już od lat trzech i jak najregularniéj płacę, oznajmił mi dziś najuprzejmiéj, że z powodu Wystawy przymuszony jest podnieść cenę lokalu, i w miejsce trzydziestu franków miesięcznie, które dotychczas płaciłem, teraz ni mniéj ni więcéj tylko sto pięćdziesiąt żąda..

— Czy być może?

— Najniezawodniéj. We wszystkich hotelach toż samo się dzieje,a studenci z *Quartier Latin* podali podobno petycję do prefekta, aby im na czas Wystawy w Luksemburskim ogrodzie pozwolono rozbić namioty.

— A to wybornie!

— Zapewne, że wybornie dla tych, co nie w hotelu mieszkają; ale dla nas, Wystawa jest prawdziwą plagą egipską, chmurą szarańczy rzucającéj się żarłocznie na nasze chude kieszenie. Wszystko idzie w górę, podwaja cenę, bo każdy właściciel hotelu, każdy restaurator, kupiec, rzeźnik i Bóg wie nie kto, każdy uprojektował sobie zrobić w czasie Wystawy majątek, i tego ćwieka niczem mu nie wybije z głowy.

— Jest to odwrotna strona medalu, rzekłem; ale cóż robić, kiedy ją każdy medal mieć musi.

— Znalazłoby się i więcéj tych stron odwrotnych, gdyby tylko poszukać pilnie, pomruknął Ignacy.

— O! już pan przesadzasz, zawołała Augusta.

— Wcale nie przesadzam, i łatwo tego co mówię, dowieść potrafię.

— Jakto! więc pan występujesz przeciwko téj wzniosłéj i potężnéj myśli, która utwory sztuki i wyroby przemysłu całego świata powołując do zaszczytnego współzawodnictwa, staje się już przez to samo zwycięzką dźwignią postępu; zbliża i rozwija z sobą najodleglejsze narody, rozpowszechnia pożyteczne wynalazki: zaciera wzajemne uprzedzenia i przesądy; budzi szlachetny zapał do czystéj, krwią ludzką nie splamionéj sławy; do zwycięztw odnoszonych nie na polu bitew, a na cichych równinach pracy; która wreszcie jak czarodziejka wróżka staje w kole narodów z oliwną różczką pokoju, i chociaż na chwilę

jedną zgromadza całą rozproszoną od wieków ludzką rodzinę do wspólnéj bratniéj uczty, pod jeden dach, do jednego stołu... Jakto! więc pan nie widzisz tych wszystkich dobroczynnych skutków Wystawy, nie spostrzegasz tego błogiego jéj na dalszy rozwój ludzkości wpływu?

— Ależ za pozwoleniem, przerwał Ignacy.

— Jakto, mówiła daléj szybko Augusta, nie domyślasz się pan, jakim to Wystawa powszechna potężnym jest czynnikiem cywilizacji...

— Ależ proszę mi dać się wytłomaczyć...

— Nie domyślasz się pan, jakie to ona w przyszłości wyda owoce, i zasklepiony w ciasnym egoizmie, ośmielasz się bluźnierczy głos przeciw niéj podnosić dla tego, że jakiś chciwy na grosze właściciel hotelu wymówił panu mieszkanie?

Ignacy jak oparzony, aż się zerwał z krzesła, tak go ten ostatni argument doknął głęboko, Augusta zaś zamilkła i poglądając zwycięzko na zalterowanego przeciwnika, uśmiechnęła się złośliwie, i nagle zmieniając ton, powolnym i słodziutkim zapytała go głosem:

— Panie Ignacy, czy można panu nalać herbaty?

— Dziękuję pani, ale zdaje mi się rzeczą słuszną, abym ja teraz z kolei stanął w obronie mojéj opinji i odpowiedział na tę gwałtowną filipikę, która jak nawałnica spadła niespodzianie na moją głowę.

— Prosimy i słuchamy, zawołało całe towarzystwo.

— Nawet z wielką ciekawością, dodała z dwójznacznym uśmiechem Augusta.

Ignacy przygryzł wąsów, oparł się na poręczy krzesła, i powoli tak mówić zaczął: Szanowna preopinatka moja nie raczyła wysłuchać mojego zdania w całości, i z góry potępiający już mnie wyrok wydała! Motywa wyroku przytoczyła wprawdzie arcywymowne, trochę już wprawdzie znane, bardzo nawet znane, ale całkiem nie stosujące się do popełnionego niby przezemnie występku, nie myślę bowiem wcale zaprzeczać ważności i najrozmaitszego rodzaju pożytków powszechnéj Wystawy, a tylko pragnę zwrócić uwagę i na ujemne jéj strony, aby ogólny bilans strat i korzyści oznaczyć. Że Wystawa jest pomysłem arcyniepospolitym, nadzwyczajnym olbrzymim etc, coś w rodzaju ósmego czy dziewiątego cudu świata, to o tem wszystkie dzienniki piszą, dowodzą i deklamują na wszystkie formy. Oto i ten nowy dziennik, specjalnie poświęcony Wystawie, i jako przechodowa roślina pod jéj złotopromiennym wpływem wyrosły, *Album de l' Exposition*, który państwu do przejrzenia przyniosłem, wyznanie wiary swojéj co do wystawy w tych trzech frazesach zamyka. „Data uroczysta! Ruch olbrzymi! Poruszenie narodów pokojowe i wspaniałe!"

Jest to symfonja heroiczna z tego samego tonu, z jakiego nam właśnie swoją odegrała panna Augusta, a raczéj introdukcja, do któréj preopinantka moja dorobiła żywe i piorunujące allegro...

— Jak uważam, wcale pan nie jesteś złośliwy, poszepnęła Augusta.

— Bynajmniéj, chyba że miłość prawdy i trafność porównań są w oczach pani synonimami złośliwości. Otóż te wszystkie piękne deklamacje o Wystawie, ody i dytyramby, solowe arje i symfonje, wszystkie przyjmuję najzupełniéj...

— A widzisz pan?

— Ale, z dobrodziejstwem inwentarza, dokończył z przyciskiem Ignacy. Kwestje osobiste, chwilową drożyznę, brak mieszkania i różne podobne okoliczności całkowicie pomijam; chodzi mi tylko o to, czy Wystawa jest rzeczywiście tak dobroczynnym cywilizacyjnym czynnikiem, za jaki ją ogłaszają i czy posiada te wszystkie wzniosłe przymioty, jakie jéj ogół przyznaje? W tem cała kwestja, jak mówi Hamlet. Co do mnie to przyznam się państwu, że wątpliwość moja pod tym względem nabrała siły, w pochwalnéj bowiem symfonji, jaką całe grono utalentowanych współpracowników owego *Album de l'Exposition* na jéj cześć wygrywa, napotkałem jeden, jedyny dyssonans, który dziwnie do mego trafił przekonania, i zaraz go tu państwu przytoczę.

Owo Album, mówiąc nawiasem, wielkiéj nie ma wątpliwości, składa się bowiem z artykułów napisanych z dowcipem właściwym francuzom, ale w nich wyższéj, poważnéj myśli odszukać nie łatwo. Są to gadaninki, na sposób kronik tygodniowych, traktujące o wszystkiem i o niczem, a głównie i wyłącznie prawie o niczem.

— No, i śmiertelnemu nieprzyjacielowi nie życzę dostać się pod krytyczny skalpel pana Ignacego, dorzuciła Augusta.

— Że nie przesadzam, będziecie się mogli sami przekonać.

Otóż w tłumie różnobarwnych artykułów, jakie to Album zawiera, napotkałem krótki ustęp, w którym autor zastanawia się nad moralną stroną Wystawy, i według mnie najsprawiedliwiéj powiada: „Wasze Wystawy powszechne dopóty nie staną się dowodem postępowego ruchu ludzkości, dopóki przedstawiać będą jedynie rezultat waszych materjalnych zdobyczy. Powiem nawet więcéj, iż wydoskonalenie przedmiotów zbytkowych wraz z wynalazkami mającemi na celu uczynienie ich przystępnemi dla wszystkich, są oznaką nie postępu ludzkości, ale raczéj jéj chwilowego cofania".

Spostrzeżenie to trafne i słuszne, Wystawa bowiem daje nam tylko jednostronny obraz społecznego rozwoju, pokazuje nam postęp jego materjalny, gromadzi wyroby, płody, maszyny, słowem wszystko, co świat dotychczas najlepszego w dziedzinie materji wytworzyć potrafił, ale na drugą, na lepszą i szlachetniejszą istoty ludzkiéj połowę, całkiem nie zwraca uwagi, całkiem ją z owego przemysłowego Panteonu wyklucza.

Powiadają: Wystawa jest termometrem postępu; miarą przebieżonéj drogi; zwierciadłem, odbijającem stan ludzkości w pewnéj danéj jéj żywota godzinie. Fałsz to wierutny, zwierciadło to stronne i zwodnicze: po za temi maszynami kryje się nędza; po za temi wyrobami wyrafinowanego zbytku szaleje rozpusta i zepsucie; po za temi wynalazkami i ulepszeniami rozciąga się całe morze śpiącéj i zatęchłéj ciemnoty; po za temi marmurowemi posągami świętych i bohaterów kryje się sturamienna zbrodnia; po za tym całym aktem mniemanéj braterskiéj uczty ludów, dyszy egoizm, nienawiść, zazdrość, całe Pandemonium występnych chuci, cała zgraja dzikich i nieokiełznanych namiętności.

Wystawa przemysłu! to rzecz wyborna, ale urządźcie obok niéj, wprost niéj zarazem Wystawę ducha ludzkiego; pokażcie nam go, jak to on wygląda we wszystkich moralnych objawach, w kole rodziny, w życiu społecznem w stosunku do całéj ludzkości; pokażcie nam, jaki postęp zrobiły zdrowe i zacne uczucia, szczytne i wzniosłe zasady, jak się rozwinęła miłość bliźniego, jak się rozwinęło poczucie obowiązku, podniosła moralność publiczna, rozszerzyło światło a zmniejszyły ciemności: a wtenczas dopiero będziemy mogli powiedzieć, że Wystawa jest rzeczywistą miarą postępu, sumiennym bilansem cywilizacji; że odbiło się w niéj jak w czarodziejskiem zwierciadle prawdziwe ludzkości oblicze.

— W tem, co powiedziałeś, jest wiele słuszności, odrzekłem. Wystawa, obejmująca jedynie wyroby przemysłu i twory sztuki nie jest jeszcze bezwzględnym wyrazem cywilizacji, ale nie mniéj przeto jest aktem wielkiego znaczenia, bo z konieczności, z postępem czasu musi się rozwinąć, i wszystkie objawy duchowéj działalności ludów ogarnąć. Dziś, pierwsze dopiero stawia kroki; jest to jeszcze dziecię, ale dziecię wielkich nadziei, i nad którego kołyską gwiazda przyszłości przyświeca. Że tak będzie w istocie, to nawet teraz mamy już tego wskazówkę. Oto, jak doniosły dzienniki, staraniem ministra oświecenia, pana Duruy, ma być wkrótce ogłoszonem obszerne i gruntowne sprawozdanie o sytuacji Francji pod umysłowym względem. Myśl to śmiała i nowa, pierwszy to filar kryształowego pałacu Wystawy intellektualnéj, czyli jak ją nazwałeś: Wystawy ducha ludzkiego. Za nim pójdą inne, i kiedyś, kiedyś, potomność na Wystawie powszechnéj rozważać będzie nietylko dzieła sztuki i wyroby przemysłu, ale zarazem porównywać moralny i umysłowy rozwój narodów, oddawać cześć zasłudze i cnocie.

— Strasznie to do tego daleko, a spiralna droga postępu, Bóg wie, w ile się jeszcze zwinie pierścieni, aby tę błogą chwilę oddalić, z westchnieniem wyrzekł Ignacy.

— Może ją oddalić, ale jéj zniszczyć nie może. Że ludzkość postępuje to niezawodną jest prawdą, i dość spojrzéć w przeszłość, aby się o tém dotykalnie przekonać; a kto raz się przekona, ten już żadnemi przeszkodami, żadnemi niepowodzeniami, żadnemi klęskami nawet z drogi obowiązku sprowadzić się nie da, bo wie, że ostatnie i stanowcze zwycięztwo zawsze na stronę prawdy i postępu przeważyć się musi.

Pozwólcie moi panowie, odezwała się moja żona, że przerwę wam tę uczoną dyskusję, która was z kryształowego pałacu Wystawy na jakieś mgliste, spiralne drogi postępu poniosła; ale pragnęłabym usłyszéć zdanie pana Ignacego, o niektórych obrazach, jakie na Wystawie widziałam. A przedewszystkiem, czy widziałeś pan obraz Matejki?

— Naturalnie, do niego się najprzód udałem.

— I cóż pan mówisz o nim?

O! pan Ignacy, zawołała Augusta, z pewnością rozmaite wady w tym obrazie wynajdzie, zgani go, skrytykuje, bo pewno wie, że wszyscy go chwalą.

— Wiem, wiem, o tem.

— A Cesarzowa warszawskie fortepiany podobno chwaliła?

— Wiem i o tém, z flegmą odpowiedział Ignacy.

— Ach! jakiż to zimny, nieznośny człowiek, wybuchnęła Augusta. Ja, jak to usłyszałam, aż podskoczyłam z radości, tak mi to miłem było, że na nasz wyroby zwracają uwagę. A nasze fotografje, szczególniéj zaś portrety Mieczkowskiego, czy nie wyborne? A nasze powozy, nasze świece stearynowe, aż miło patrzeć! a i francuzi chwalą, a jak usłyszałam jaką pochwałę, to tak byłam uradowana, jak gdyby to mnie samą chwalono.

— Bardzo to pięknie, panno Augusto, ale mieliśmy mówić o obrazie Matejki.

— A więc mówmy, i owszem. No, czegóż Pan nie mówisz? A obraz Gersona „opłakane apostolstwo” widziałeś Pan? A Simlera Barbarę? Zrobiła na mnie wrażenie, jakbym po długiém niewidzeniu serdeczną przyjaciołkę spotkała.

— Winszuję, rzekł z przekąsem Ignacy; ja wolę zawsze żywych przyjaciół.

— Ach, jakiż Pan jesteś nieznośny! Umyślnie nie chcesz mnie zrozumieć. Ale mniejsza

o to: no, co Pan sądzisz o obrazie Matejki, proszę się wyspowiadać sumiennie.

— Że kommissja Wystawy przyznając medal pierwszéj klassy artyście, poważném zdaniem swojém potwierdziła zdanie ogólne. Sądzę jednak, że nie ubliżę artyście, ani też żadnéj nie popełnię herezji, jeżeli odważę się dziełu jego uczynić pewne zarzuty.

— A co? czy nie mówiłam o tém z góry, zawołała Augusta.

— Wiesz pan zapewne, że i Simler za Barbarę i za prześliczny portret kobiety otrzymał medal 2-éj klassy, odezwała się moja żona.

— Wiem Panie.

— Muszę wam też powiedzieć o zarzucie, jaki jeden z wspólnych znajomych naszych, Eugenjusz, zrobił Barbarze. Jak wiecie, nie jest to wcale człowiek obeznany z zasadami estetyki, a sąd jego jest jedynie wyrazem instynktowego poczucia, które jednakże częstokroć bardzo trafném bywa. Będąc razem na Wystawie stanęliśmy przed Barbarą. Eugenjusz zmarszczył się trochę i rzekł:

Jest w tém obrazie coś, co mi się nie podoba, co mię razi, co mi psuje wrażenie. Zygmunt August, siedzący na łożu ukochanéj a zmarłéj już małżonki, zdaje mi się być nie na swojém miejscu. Można siedzieć na łożu choréj, umierającéj, ale od chwili, w któréj anioł śmierci roztoczył już blade swoje skrzydła, taki jakiś straszny urok, taka dziwna powaga zmarłą istotę otacza, że mimowoli uczuciem poszanowania przejęci, nie mamy już śmiałości w poufały do niéj przybliżać się sposób.

Śmierć ma swój wymowny, uroczysty majestat—i im droższą była stracona istota, tém, i ten urok pośmiertny jest większym; Zygmunt August nie mógł tak w bolesnéj zadumie siedzieć na łożu zmarłéj Barbary, nie zgadza się to z tajemniczém prawem naszego serca. Mógł stać, mógł klęczyć przy niéj, mógł wesprzeć się o krawędzie łoża, lecz nie mógł siedzieć na niém, bo z chwilą skonu było już ono nie łożem, a grobowym Barbary całunem.

Krytyka Eugenjusza, któy przed czterema laty właśnie młodą i prześliczną żonę stracił, wydała mi się pod pewnym względem sprawiedliwą; pospieszam jednak dodać, iż nie mam całkiem zamiaru przez to ujmować wartości utworowi Simlera, który mu tyle zyskał sympatji, i tak piękne na polu krajowego malarstwa zjednał stanowisko. Dowód to tylko, ile to trudności ma do zwalczenia artysta, zanim myśl swoją w cudne, niepokalane kształty ideału przyoblec zdoła, zanim arcydzieło, wszystkim wymaganiom sztuki zadosyć czyniące, stworzyć potrafi.

Kiedyżeś Pan był na wystawie, panie Ignacy? zapytała Augusta.

— Byłem po raz trzeci onegdaj.

A my, pomimo niedzieli byliśmy wczoraj, właśnie dla tego, aby zobaczyć Wystawę w całym jéj blasku, ozłoconą jasnemi promieniami pogodnego dnia, ożywioną ruchem i gwarem stu tysięcy widzów. Widok zaprawdę wspaniały, uderzający. Ten labirynt galerji, ten ruch i gwar spacerujących, te krzyżujące się do koła w najrozmaitszych językach rozmowy, to bogactwo i rozmaitość nagromadzonych wyrobów, wszystko to razem tworzy jakąś olbrzymią całość, pełną uroku; ma jakiś wspaniały, świąteczny charakter, który zdumiewa i zachwyca zarazem.

Przyznać trzeba że też i w urządzeniu jéj francuzi wiele okazali talentu. Co za wyborny pomysł, naprzykład, tych bufetów dla każdéj narodowości. Tu niemcy zapijają ulubione swoje bawarskie piwo; tu anglicy *rosbeef* zajadają; tam włoskie lody roznoszą; tu murzyn w amerykańskim bufecie usługuje gościom. W wiedeńskiéj restauracji znaleźliśmy dziewczynę za bufetem, ubraną w czworograniastą czapkę.

A zkąd jesteście? zapytaliśmy.

Ode Lwowa, proszę państwa, odpowiedziała z uśmiechem.

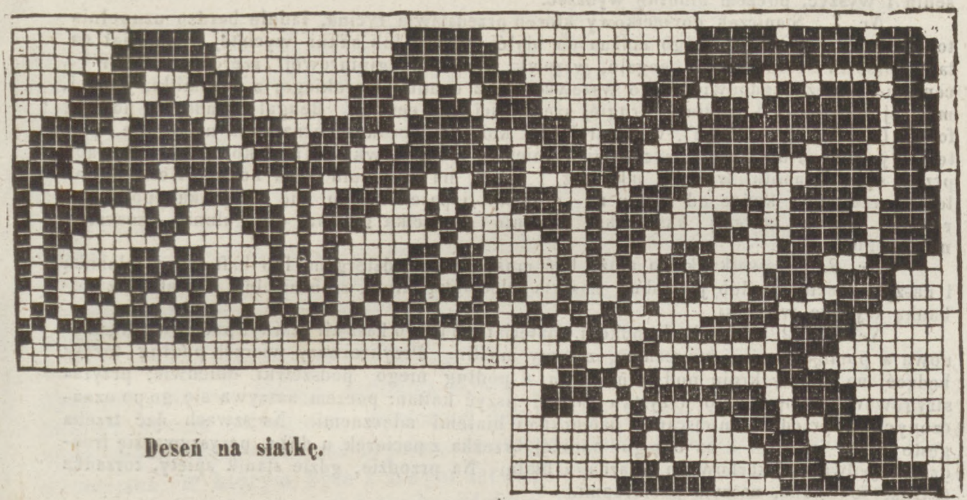
Tunetańska kawiarnia urządzona jest z całym wschodnim przyborem, nawet ze stajnią dla koni. My europejczycy, idąc do kawiarni, bierzemy laskę lub parasol; turek zaś potrzebuje konia, i konno się udaje na filiżankę kawy. Otóż zwyczaj ten zachowano i na Wystawie, i widzieliśmy jak dwóch tunetańczyków na pysznych berberyjskich rumakach zajechało do owéj kawiarni, w któréj prócz wybornéj mokki, można się nasłuchać i rozdzierającéj uszy tureckiéj muzyki.

Od kilku dni i chińska restauracja otworzoną została, a w niéj młoda i przystojna chinka nalewa gościom herbatę. Tłok jednakże był taki, żeśmy się do niéj docisnąć nie mogli, i zapoznanie się z tą Niebieskiego państwa pięknością na drugi raz odłożyć musieli.

Oto pierwsze wrażenie nasze z Wystawy. Zamierzamy jednak sumiennie obejrzéć wszystkie dzieła sztuki, a jest ich znakomita liczba, i z kilku najcelniejszych zdać sprawę. Powiadam, że z kilku tylko, aby nie przestraszyć łaskawych czytelników, których i tak już znudziła może ta luźna o Wystawie gawęda. A nietylko z samemi czytelnikami mam kłopot; wyznam w sekrecie, że i p. Augusta niezadowolona, że ją zbyt wiernie przedstawiam.

Ja uspokajam ją jak mogę i tłomaczę, że to jéj wielkiéj nie przyniesie krzywdy, bo jużcić z Warszawy nikt aż do Paryża nie przybędzie w zaloty. Ale co począć! P. Augusta nawet i z dwóchset milowéj odległości, dobrze wydawać się pragnie; gdy się więc ona na mnie gniewa, niechże choć czytelniczki moje będą na mnie łaskawsze. *Edward Siewko.*

Dodatek do Zeszytu X, Kółka Domowego. 1867.



Deseń na siatkę.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr 1. Róg ze szlakiem do chustki do nosa: robi się atłaskiem przedzielonym lub sznureczkiem atłaskowym i ściegiem kanonierskim w pół księżycach.

Nr 2. Kołnierzyk: paski z desenikiem w gałązki robią się atłaskiem i dziurki. Pod szlaczki w kółku podkłada się muślin; a gdy już kółka i trójkąty obszyte sznureczkiem grubym atłaskowym i środkowe punkta także atłaskiem wyhaftowane, wyciąć trzeba batyst, to jest, materjał zwierzchni z kółek na których się punkta atłaskiem haftują po wycięciu; także i z trójkątów powycinać tak batyst jak muślin i porobić natomiast pająćzki lub powprawiać kluni.

Nr 3. Ozdobna tarcza; zdatna do poszewek na których się nie na rogu haftuje, lecz nad obrębem w samym środku. Robi się atłaskiem, sznureczkiem, dziurkami.

Nr 4. Scieg paskowy (point rayé) któren tu przedstawia rycina jest jedną z wielu odmian tak dziś znanego i używanego *tunizeńskiego* ściegu (point tunisien). Scieg paskowy robi się także szydełkiem długiem. Po zrobieniu łańcuszka dowolnéj długości któren ma służyć za podstawę téj robocie wyciąga się trzy pętelki przez pierwsze trzy oczka; zarzuca się nitka na szydełko, co będzie stanowić dłuższą pętelkę i przez następne dwa oczka wyciąga się dwie pętelki; daléj robić jak wprzódy. Zakończa się rząd ten zrobieniem trzech zwyczajnych pętelek a nie dwóch, jak w ciągu roboty. Powracanie, czyli gubienie pętelek odbywa się w ten sposób: przeciągnąć nitkę przez trzy ostatnie pętelki razem; powrócić szydełkiem po nitkę i przeciągnąć przez cztery pętelki t. j. przez świeżo zrobioną, przez długą i dwie krótkie; znów powrócić po nitkę i robić podobnież.

Rzęd drugi: uważajmy że nitka przeciągana przez 4 oczka utworzyła łuk, któren odchyliwszy szydełkiem ku sobie, zobaczymy cztery ocz ka; z tych przez drugie wyciągnąć pętelkę; przez dwa następne razem wzięte znów pętelkę; teraz wkłada się szydełko niżéj o dwa rzędy, tuż przy połowie dłuższéj pętelki, a wyciągnięta pętelka będzie znów stanowić długą pętelkę, i tak daléj jak od *N. B.* Póki nie ma więcéj zrobionego od zaczęcia jak dwa rzędy, to trzeba kłaść szydełko, zaciągając na długą pętelkę, w téż same miejsca w których się długie pierwszego rzędu zaczynają, gdyż te, nie mają tu jeszcze jak połowę swéj właściwéj długości,— daléj postępować jak wprzódy.

Nr 5. Szlaczek do wyszycia sutaszem na kolorowych ubraniach dziecinnych, lub na koszulkach Garibaldi dla starszych. Można także wyszyć białą plecionką na muślinowem ubraniu.

Nr 6. Kaftanik, kamizelka damska. To piękne ubranie, choć skromne, może służyć nie tylko do domu, ale też i na ranną wizytę. Robi się z batystu wełnianego, koloru dzikiego lub popielatego. Obszycie do koła i deseń, któren wraz z formą znajduje się na tablicy kroju, pod Nem tym, naszywa się sutaszem jedwabnym, koloru czarnego. Guziki spinające na przodzie kamizelkę są dżetowe; tylna część kamizelki

i podszewka u kaftanika z perkalu koloru sukni. Deseń trzeba przerysować z formy na bibułkę angielską; tę przyłożyć do wykrojonego kaftana w miejscach wskazanych na deseniu i wyszyć, poczem bibułkę wydrzeć.

Nr. 7. Staniczek gorsecikowy któren przedstawia rycina, ładnie bardzo uzupełnia toaletę wieczorową. Użyć go można do białéj bluzki lub sukni wyciętéj. Materjał na taki gorsecik składa się z bengalu, wszewki kluni lub gipiurowéj, szerokie na 2 i $^1/_2$ centim: i brzeżka odpowiedniego wszewce, na 2 centim: szerokiego; z aksamitki, jednéj, mającéj szerokości 1 centim: i drugiéj szerokości 4ch centim. Bengal układa się podług formy (Ner 2gi tabl: kroju), w kontrafałdki których szerokość oznaczona na formie, potem wyciąć podług formy, zostawiając miejsce na wszewkę. Trzy kokardki spinające przód, są z aksamitki węższéj, jako też i rozeta na ramieniu i na boku. Kokarda na lewem ramieniu, końce od rozety na prawem i pasek któren się klejonką podszywa robione są z szerszéj aksamitki. Ubranie gorsecika giupirą czy kluni, oznaczone na deseniu.

Nr. 8. Krawatka która może być muślinową, z dzierganą lub haftowaną falbanką i naszyta plecionką, lub jedwabna naszyta plecionką złotą, srebrną lub jedwabną z falbanką wyciętą w ząbki.

Nr. 9 i 12. Kaftanik do pokoju. Materjał na niego kaszmir czarny, podszewka lustrynowa a pomiędzy nią i wierzchem, sztywny muślin. Przykroiwszy wierzch podług formy będącéj na tablicy kroju pod Nem. 3cim, a podług niego podszewki obiedwie; przyfastrygowawszy poprzednio wszystko razem, uszyć kaftan: poczem naszywa się go po oznaczonych poprzednio miejscach, paciorkami białemi mlecznemi. Na szwach dać trzeba gęste rzędy jako też i na brzegu; poniżéj brzeżka z paciorek u dołu, przyszywa się frendzelka jedwabna, karbowana, czarna z białą. Na przodzie, gdzie stanik spięty, torsadka czarna, jedwabna, naszyta paciorkami.

Nr. 10. Szlak wyszyty sutaszem, paciorkami i u dołu grelotki.

Nr. 11. Sukienka dla dziewczynki; forma dana na tabl: kroju jest na panienkę mającą lat od 8miu do 12stu. Jest to ubranie najnowsze dla małéj panienki, które zarówno służyć może do dużego stroju, jak i na wieczór, jeżeli w tym ostatnim razie zamiast wełny użyje się materji jedwabnéj. Pierwsza spódniczka najdłuższa, jest z alpagi koloru niebieskiego lub białego, przyozdobiona aksamitką czarną, w paski podłużne naszywaną. Druga spódniczka ze stanikiem pod szyję robi się z kaszmiru; gdy niebieska dolna można użyć orzechowego jasnego albo szamoa, a do białéj, niebieskiego lub fijałkowego. Dół zwierzchniéj sukienki wycięty w zęby obszywane pasmauterją odpowiednią i frendzelką szerokości dwóch centim. Uzupełnia całość zwierzchnie ubranie z tego samego materjału co spódniczka niższa; jest to gorsecik z szelkami, od którego spada na spódniczkę siedm klap zaokrąglonych. Dodaje się do tego pasek z rozetką z tego samego materjału co spódniczka wyższa; kształt gorsecika i klap, dokładnie widzieć się daje na rycinie.

Nr. 13. Ozdoba znaku do chustki do nosa. Sznureczkiem atłaskowym haftowany.

Nr. 14. Znak do chustki. Liście żołędziowe, gałązki, topór, pika, drążki od sztandarów i litery, atłaskiem; frendzle ściegiem ościowym; kwadraty u góry i u dołu haftowane w paski, ściegiem długim atłaskowym, bawełną pąsową lub ściegiem przed igłą bardzo równo i drobno. Kwadraty boczne w prążki, ściegiem długim atłaskowym, jedwabiem czarnym cienkim, używanym wyłącznie do haftu. Żołędzie atłaskowym, w kierunku od góry do dołu, a miseczki żołędziowe ściegiem kanonierskim.

Nr. 15 i 16. Szlaki do koszulki: jeżeli biała, to haft atłaskiem i ściegiem kanonierskim; jeżeli kolorowa, to wyszycie sutaszem jedwabnym i ściegiem kanoniesrkim z jedwabiu.

Nr. 17. Szlak sutaszem grubym i ściegiem rzadko dzierganym.

Nr. 18. Robota piękna i nowa, mogąca być użytą na torbę podróżną, poduszkę i t. p. Robi się w następujący sposób: na skórze angielskiéj która jest bardzo cienka, lub na drylichu czy dymie atłasowéj, nafastrygować w równéj odległości tasiemki wełniane kolorów, czarnego i pąsowego na przemian. Jeżeli deseń ma być zwiększony, można użyć sukna w tych kolorach, pokrajanego w pasy szersze od tasiemek. Te tasiemki czy pasy, przymocować ściegiem langietkowym. Brzeg obdziergać używając włóczki, pąsowéj do czarnego a czarnéj do pąsowego. Deseń na tasiemce czerwonéj składa się z krótkich ściegów i długich koło siebie położonych, włóczką czarną naszytych; pomiędzy niemi daje się ścieg jeszcze dłuższy z bawełny białéj. Punkta i krzyżyki na czarnéj tasiemce robią się bawełną białą; ścieg ościowy na pasku tła, robić trzeba włóczką czarną grubą podług deseniu jaki jest na rycinie. *(D. n.)*

III

O UBIORACH.

Rozgadawszy się w poprzednim zeszycie obszernie o kapeluszach przejdźmy teraz do sukien, których bardzo dużo gotowych, sprowadził na wzór z Paryża, magazyn pana Penkali. Najwięcéj jest krótkich z dwoma spódniczkami mającemi sześć do siedmiu łokci obwodu; zwierzchnia spódnica lekko marszczona z tyłu, spodnia zupełnie gładka. Brytów już nie ośm, ale sześć; cztery wązkie po dwóch bokach, przedni zaś i tylny nieco szerszy. Najwięcéj widzieliśmy tam sukien z wyrobu angielskiego zwanego *chamillon* w którym są mieszane dwa cienie jednego koloru. I tak: suknia jasno popielata, miała dolną spódnicę naszytą pliskami niebieskiemi jedwabnemi, podłużnie. Pliski te zaczynały się wszystkie u samego brzegu sukni, a były dłuższe i krótsze i ułożone tak, że swemi górnemi wierzchołkami rysunek zębów kreśliły. Przez każdą z nich (nie szerszą jak palec) przechodził wzdłuż czarny sznureczek czy sutasz, kończący się w każdym końcu czarnym guziczkiem. Druga spódnica miała przedni bryt łączący sie tylko do połowy szwem z drugiemi, puszczony jak fartuszek, obszyty w około jedną niebieską pliską, reszta zaś brytów, tworzyła tunikę zaokrągloną, poczynając od miejsca, w którym była z owym fartuszkiem złączona; obszycie jéj także sama pliska stanowiła. Paletocik podobnie obszyty, krótki i równy z tyłu, miał przody przedłużone na pół łokcia, nie zaokrąglone ale w kanty; których dolny brzeg obszyty był frendzlą; krój ten zowie się *à la juge*. Druga suknia koloru Bismarka który jest dawnym hawańskim kolorem, tylko jasniejszym niby kawa ze śmietanką, była także z wyżéj wspomnionego angielskiego wyrobu. Dolna spódnica obszyta trzy razy w około jedwabnemi plisami tegoż koloru co suknia tylko ciemniejszemi, z wypuszczeniem czarnem po dwóch stronach (1). Górna spódnica w 6 brytów otoczonych w około szwów i dołu podobnemiż co tamta pliskami. Cztery bryty boczne były tak wszywane, że zamiast coby się miały ścinać od dołu ze strony skośnéj jako dłuższéj, dopasowane były do strony prostéj drugiego bryta za pomocą dwóch fałdów idących w górę, co bardzo całą suknię stroiło; dodany był paletocik z płaskiemi rękawami, a podobne jak w sukni pliski obszywały front jego i brzegi z różnemi zagięciami. Były jeszcze suknie mniéj strojne, ciemniejsze, przy których dolna spódnica obszyta była szeroką wodą a górna wycięta w głębokie śpiczaste zęby, długie blizko na ćwierć łokcia, obszyte frendzelką czarną. Druga snknia ciemno popielata miała obie spódnice zakończone okrągłemi, głębokiemi zębami, lecz one były płytko wykrajane, a głębokość wykroju rysowały pliski czarna i biała, które je obszywały; paletocik do téj sukni był wycinany w zęby okrągłe przedzielone klapkami. co dwa zęby jedna klapka i na tych klapkach właśnie wypadały kieszenie.

Do strojnych sukien na przechadzkę należy bezwątpienia ta, którą widzieliśmy u p. Włodkowskiéj. Dolna spódnica była czarna, naszyta w grecki deseń czarną taśmą z blado żółtem (maïs) wypuszczeniem; zwierzchnia spódnica była takiegoż jasnego koloru, podpięta czarną z żółtemi brzegami rozetą na lewym boku. Od pasa szło naszycie pliskami żółtemi z wypuszczeniem czarnem, dane w taki sposób jak widzimy na Fig. 5 ryciny mód, przesyłającéj się przy niniejszym poszycie. Pasek czarny z wypuszczeniem

(1) Wypuszczenie jest to, to samo co dawniéjsza wypustka, tylko nie mieści w sobie sznurka.

żółtem, kładł się na staniczek żółty z płaskiemi rękawami ozdobionemi również pliskami z czarnem wypuszczeniem. W tem ubraniu można było pozostać w domu, lecz do wyjechania na praechadzkę miał się włożyć paltocik krótki, czarny bez rękawów, naszyty w taki sam sposób co dolna spódnica, czarną taśmą, z żołtem wypuszczeniem. Suknia ta z czarnéj ciężkiéj jedwabnéj materji i wybornego gatunku blado-żółtego fularu, zamówioną już była przez jedną z warszawskich elegantek.

Zrobimy tu ogólną uwagę co do sukien w których spódnica zwierzchnia jest innego koloru, innego zaś dolna wraz z paletotem, żeby ten ostatni był krótki, wtedy bowiem całość ładnie wygląda. Widzieliśmy w tych dniach na ulicy, suknię ze zwierzchnią spódnicą czarną, a spodnią fijałkową i tegoż koloru paletotem, który był tak długi, że właściwie nie można było zrozumieć co znaczy ten czarny szmat pomiędzy nim a dolną spódnicą wiszący. Tu się jawnie pokazuje to, czego nigdy z oczów spuszczać nie powinna kobieta chcąca być gustownie ubraną. że nie tylko niewystarcza naśladować modę ale że można się stać śmieszną naśladując ją bez zachowania estetycznych względów bez zastosowania się do figury, koloru włosów wieku i t. p.

Co do okryć, widzieliśmy u p. Włodkowskiéj pełno czarnych jedwabnych paltocików bogato naszywanych, ale tych ceny są wysokie. Czarne wełniane także naszyte, są tańsze bo od 12 do 15 rs. U p. Penkali są piękne beduiny po 30 rs. i drożéj, to czarne w kolorowe centki z piękną dżetową frędzlą, to pluszowe w wypnkłe prążki popielate na tle pąsowem, to, tak zwane perskie. Paltocików kortowych czarnych z białem naszyciem lub całych popielatych i czarnych pełno jest także. P. Aurelja przywiozła w tych dniach z Paryża wzory ślicznych kapelusików, z których podobał nam się szczególniéj jeden, jako skromny i elegancki zarazem, z czarnego tiulu naszywanego wązką koronką i perełkami dżetowemi; okrywa cały wierzch głowy dochodząc aż do uszu, zkąd przedłużają się czarne koronkowe barwy do spięcia pod brodę. W około jego frontowego brzegu (bo rondem tego nazwać nie można) idzie warkocz koloru słomianego sznura, od tego warkocza idzie rzęd grubych grelotek także żółtych, które całą twarz okalają bardzo powabnie. Przywiozła także p. Aurelja paski z ozdobami, które wyglądają jakby naszyjniki, nie kładzione na szyi, ale na figurze. Inne opaski czarne w zęby od dołu lub też całkiem równe, bogato naszywane dżetem łatwo w domu zrobić można i wzory ich podamy w jednym z następujących poszytów.

Nie radzimy naszym czytelniczkom zrzucić zupełnie spódnice ze stalkami czyli tak zwane krynoliny, lecz przypominamy, że je należy bardzo zmniejszyć. Obwód dołu łokci 4½ najwięcéj, góra zaś powinna być albo bez stalek, albo tylko ze stalkami z tyłu nieodstającemi, ale leżącemi na biodrach.

Do dzisiejszego kroju sukien wszystkie białe spódnice należy też poprzerabiać, inaczéj liczne ich zmarszczki tworzyć będą guzy i wypukłości, mogące zeszpecić rysunek figury.

Rękawiczki o jednym guziku jako zbyt krótkie i odsłaniające rękę prawie już są zarzucone przez kobiety gustownie się ubierające. Dawna pretensja zmniejszania ręki przez ciasną rękawiczkę zdaje sie, że już minęła, małość ta bowiem wyglądała jak kalectwo; jednak rękawiczka powinna być obcisłą, nie mieć palcy za długich, słowem uwydatniać kształt ręki, lecz jéj ruchów nie tamować. Kolor ich jasny zawsze jest wymagany na większe zebrania i wieczory.



KÓŁKO DOMOWE

Czerwiec 1867. r.